

**PRZYBRANY
BRAT**

Tytuł oryginału

Stepdork

Copyright © 2019 by A.E. Murphy

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Korekta:

Sara Szulc

Karolina Piekarska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-013-2

A.E. MURPHY

PRZYBRANY BRAT

**TŁUMACZENIE
GRZEGORZ CIECIELĄG**

OŚWIĘCIM 2022

*Dla Addi Whillock i Nadine Walkinshaw, przyjaciółek,
na które zawsze mogłam liczyć.*

ROZDZIAŁ 1

Stawiam ostatnie pudło na podłodze mojego nowego pokoju, z którym zdążyłam się oswoić przez te kilka ostatnich miesięcy – to jest, od kiedy tata zaczął poważniej traktować swój nowy związek. Wcześniej był tu pokój gościnny, ale Shonda wyniosła wszystko, żeby zrobić miejsce dla mnie. Miło z jej strony.

W sumie to nawet nie żałuję, że się przeprowadzamy.

Dostrzegam wiele plusów:

1. Jej chata jest większa.
2. Ma basen.
3. Jest bliżej plaży.
4. Ma naprawdę rewelacyjny basen.
5. Mam stąd dalej do szkoły, co stanowi wymówkę, żeby później wracać. No, chyba że każą mi jeździć z moim przybranym bratem – pustelnikiem. Na własny samochód nie mam co liczyć – nie po tym, jak zjarana zaparkowałam cztery kółka w ukochanym żywopłocie – w kształcie żyrafy – pana Brunswicka.
6. Mam większy pokój – a boczne okno wychodzi na dach. Taka opcja może się kiedyś przydać.
7. Pachnie tu lawendowym sprayem do polerowania mebli.
8. Moja macocha nie tylko mnie lubi, ale nawet zagaduje. Jest sympatyczna i też pachnie jak lawendowy spray. Prowadzi księgowość jakiegoś bogacza z Los Angeles, a że zna się na swojej robocie jak mało kto, więc i wynagrodzenie ma adekwatne. My z tatą też nie klepiemy biedy, co nie znaczy, że mam sute kieszonkowe. Wprost przeciwnie.

9. Powtarzam: ma basen!

Ale jest też kilka minusów:

1. Mój przyrodni brat szczerze mnie nienawidzi od dnia, kiedy się poznaliśmy. Chociaż to w sumie plus, bo daje temu wyraz, trzymając się na dystans.

2. Tata jest tak zabujany, że prawie w ogóle nie spędzamy ze sobą czasu. Z jednej strony cieszę się jego szczęściem, a z drugiej jest mi trochę smutno. Od kiedy pamiętam, zawsze byłam jego oczkiem w głowie.

3. Po domu zawsze ktoś się kręci, więc na wieczornego buszka będę musiała się gdzieś wykradać. Ale to nie problem. Nie biorę niczego mocniejszego; no, może czasami. Ale już tak mam, że bez bucha nie zasnę. Potrzebuję go, żeby wyciszyć mój wiecznie rozgadany mózg.

Ktoś puka do drzwi – i nawet wiem kto. Na pewno nie tata; jego pukanie bym rozpoznała.

– Proszę – mówię, zrywając brązową taśmę z kartonowego pudła i wysypując jego zawartość na łóżko, które tata złożył wczoraj. Poprzednie okropnie trzeszczało, więc dostałam zupełnie nowe, podwójne, z szufladą pod stelażem. Ciekawe, czy zmieściłby się w niej człowiek. Tak na oko powinien.

Shonda staje w progu, ale nie wchodzi do środka. To cecha, za którą ją lubię – nie próbuje na siłę wtrzywać się do mojego życia.

Z jej spojrzenia można wyczytać szczerą troskę.

– Robię kanapki, jesteś głodna? – pyta z uśmiechem.

Moja macocha jest piękną kobietą; ma jasnobrązowe, sięgające ramion włosy i orzechowe oczy – ciepłe, lecz o przenikliwym spojrzeniu. Z jednej strony budzi naturalny szacunek, a z drugiej spowija aura całkowitej akceptacji. Nie bije od niej nawet cień oziębłości.

– Zjadłabym konia z kopytami. – Przenoszę spojrzenie na łóżko. Mam już po dziurki w nosie rozpakowywania. – Pomóc ci?

Uśmiecha się szerzej.

– Nie musisz. I tak masz pełne ręce roboty. Może później ja pomogę tobie? – proponuje.

– Poradzę sobie. – Tak naprawdę to nie chcę, żeby ktoś grzebał w moich rzeczach. – Pomyślałam, że najpierw odmaluję ściany, a dopiero potem się rozpakuję. Możemy tak zrobić?

– Jak mówiłam, ty tu rządzisz – odpowiada z przekonaniem.
– Chociaż to może się zmienić, jeśli podziurawisz ściany albo powybijasz okna.

– Shonda się wozi – rzucam półgłosem, szczerząc się szeroko, na co odpowiada pokerowym wyrazem twarzy.

– Mam nadzieję, że to komplement. Za dziesięć minut jemy.

Odchodząc, zamyka drzwi. I znowu zewsząd otacza mnie cisza. Cisza nie do wytrzymania.

Zanim zabiorę się za wieszanie ciuchów, wsuwam słuchawki do uszu i odpalam muzykę z telefonu. Rozglądam się po pomieszczeniu i stwierdzam, że mam tu całkiem konkretną szafę. Może do niej też dałoby radę kogoś wcisnąć.

Chichocząc pod nosem, zabieram się do roboty.

Ledwie wczoraj skończyłam upychanie tego wszystkiego w pudłach. Ręce opadają. Nigdy więcej – ani pakowania, ani rozpakowywania.

Ale nie przerywam pracy i schludnie wieszam swoje ubrania. Nie jestem jakimś niechlujem – no, z drobnymi wyjątkami. Zdarza mi się nie odstawić kubka do zlewu, ale na pewno nie rzucam ciuchów, gdzie popadnie.

I kiedy tak bujam się do muzyki i chowam ulubioną małą czarną, ktoś stuka mnie w ramię.

Nie zamierzam mu pokazać, jak bardzo się przestraszyłam. Wyciągam słuchawki i owijam kabelek na szyi.

– Nie powinnaś tak głośno słuchać muzyki – poucza mnie Łosiek, marszcząc brwi, jak to tylko on potrafi. – Uszkodzisz sobie słuch.

Sięgam dłonią i próbuję złapać ciemny włos, który zahaczył mu się o długą brew tuż pod szkłem prostokątnych okularów.

– A ty pomyśl o wizycie u fryzjera. – Mrugam do niego porozumiewawczo.

Cofa się o krok i spogląda na mnie spode łba, mrużąc intensywnie orzechowe oczy, które musiał odziedziczyć po matce. Tyle że z jego spojrzenia bije chłód.

– Lunch gotowy.

– Ogłoszenie parafialne. – Znowu próbuję złapać go za włos, ale chwytam moją dłoń i przytrzymuję przez chwilę, zanim udaje mi się wyrwać. – Nie waż się wchodzić do mojego pokoju bez pukania, bo odwiedzę cię w nocy, przytnę ci tego mopa i przykleję do twarzy.

Przewraca oczami, co często mu się zdarza w moim towarzystwie.

– Pukałem. Nie odpowiedziałaś – odwarkuje.

– Trzeba było wysłać SMS-a! Przecież wiesz, że praktycznie nie zdejmuję słuchawek.

– A niby jak miałem to zrobić? Przecież nie mam twojego numeru.

Kiwam głową rozbawiona ironią sytuacji.

– Trafna uwaga. Obracamy się w różnych kręgach towarzyskich. – Podaję mu komórkę. – Daj mi swoje namiary, Łośku. I niech będzie to lekcją dla nas obojga.

W chwili, gdy kończy wpisywać dane, wyrwam mu telefon z dłoni.

– Jeśli spróbujesz ze swoimi kumpelami-ćpunkami wyciąć mi jakiś numer, zamienię twoje życie w piekło – grozi.

Wybucham głośnym śmiechem i skracam dystans między nami. Młody mężczyzna pachnie świeżością i w sumie niczym więcej. Nie to, żebym go obwąchiwała.

– Możesz spróbować. Może i jesteś łebski, ale brakuje ci jaj. Ty nikomu nie uprzykrzyłyś życia. Cipeczko.

Zaciska usta, uwydatniając mięśnie szczęki. Pośród szczeciny widzę świeżą ranę – zaciął się przy goleniu.

Uważam go za totalnego lamusa, bo cały czas siedzi w swoim pokoju, czytając jakieś ogromne tomiszcza i grając z kumplami w dziwne gry, chyba planszowe. Przyznaję, że nigdy go na tym nie przyłapałam, ale kiedy byłam tu ostatnio i Shonda oprowadzała mnie po mieszkaniu, zza drzwi jego pokoju rozległ się krzyk: „Drżyj, goblinie! Poznaj grozę mego miecza!”.

A pozostali mu kibicowali.

Wspólnie z kumplami tworzą oficjalną Lama-Ekipę Liceum Katherine Lee – gdzie oboje uczęszczamy, wzajemnie siebie unikając.

– Jesteś niemożliwa – oznajmia, po czym odwraca się i wychodzi.

– Do niezobaczenia, lamusie – rzucam, po czym prześlizguję się obok, zahaczając barkiem o jego ramię, jako że jest dobre piętnaście centymetrów wyższy ode mnie.

Byłoby z niego niezłe ciacho, gdyby tylko wyjął kij z tyłka. Ale od kiedy go znam – czyli od kilku ładnych lat – zawsze był smętny, markotny i nieprzystępny. Do tego te wążące mu do oczu włosy i okulary na pół twarzy.

Chowa do mnie urazę od czasu pewnego niewinnego zdarzenia w czwartej klasie. Gość jest wyjątkowo pamiętliwy.

W kuchni wita mnie następujący widok: Shonda przyciśnięta do drzwi lodówki, z tatą przyssanym do swojej twarzy.

– Nie przy dzieciach – protestuję, kierując się ku ustawionym na śnieżnobiałym blacie dwóm talerzom z kanapkami oraz ogromnej misce chipsów. Z marszu zagryzam jednego chipsa, analizując opcje kanapkowe.

Shonda i tata odklejają się od siebie. Ona sprawia wrażenie zawstydzonej, on nadal nie może oderwać od niej wzroku.

Niedobrze się robi.

– Wolę już nigdy się nie zakochać, niż robić takie miny – deklaruję, wskazując na zarumienione twarze Shondy i taty, po

czym dodaję: – Mam nadzieję, że zanim wzięliście się za szykowanie jedzenia, umyliście dłonie.

– Trafna uwaga – dorzuca Travis, porywając z talerza kanapkę z szynką i ogórkiem.

W odpowiedzi tata łapie mnie chwytem zapaśniczym.

– Tylko nie włosy! – wrzeszczę.

Oczywiście, że nie posłucha. Szoruje kłykciami po mojej czaszce, a ja wbijam mu paznokcie w ramię, próbując się oswobodzić. Nic z tego, jest za silny. Niech go licho.

Kiedy w końcu mnie puszcza, łapię kanapkę z pastą jajeczną, wprasowuję mu ją w policzek, uciekam za kontuar i sięgam po więcej amunicji.

Tata odkleja kromkę z twarzy i w całości wpycha sobie do ust, a Shonda rzuca mu mokrą ściereczkę.

Zdążyli się już przyzwyczaić, że u nas to norma. Tacie przydałby się syn. Chociaż w sumie też mam z tego frajdę – z wyjątkiem sytuacji, kiedy rujnuje mi fryzurę.

– No dobrze – odzywa się tata, znany też jako Maxen, i już wiem, że czeka nas *pogadanka*. – Pora ustalić zasady.

No jasne.

– Daj jej się najpierw zadomowić – szepce Shonda, gdy zajmuje pozycję obok taty.

– Wiem, jak mam się zachowywać – oznajmiam, prostując się.

– Ja też – wtrąca wyraźnie zirytowany Travis. – Muszę dokończyć pracę domową.

– A ja uczesać włosy. – Wskazuję palcem chaos na mojej głowie.

– Dobrze, zatem ujmę to inaczej. Ustalimy harmonogram prac.

– Ojciec nie daje za wygraną.

Zerkam na Travisa – przestał jeść i wyraźnie się spiął. Shonda posyła nam uspokajający uśmiech.

– Mamy świadomość, że macie swoje lata i własne sprawy, ale zależy nam na wzmocnieniu rodzinnych więzów. – Gdy ukryte

w gąszczu zarostu usta formują te słowa, tata prostuje się, wypina pierś i ogólnie stara się emanować dumą. – W piątek i sobotę możecie robić, co się wam żywnie podoba. Ale chcemy, żebyście niedzielę spędzali z nami, w domu.

– Chyba że na przeszkodzie stanie szkoła – wtrąca Shonda.

– Co dokładnie znaczy to „z wami, w domu”? – dopytuje, marszcząc brwi.

– Że będziemy razem gotować albo wyjdziemy do restauracji, potem do kina i ogólnie...

– Zbliżymy się do siebie – kończy za niego Shonda, a tata całuje ją w nos.

– Otóż to.

– Jak tam sobie chcecie – komentuję i pakuję do ust kolejną kanapkę.

Oboje przenoszą wzrok na Łośka, który wzrusza ramionami. Najwyraźniej to im wystarczy.

– Świetnie, czyli jesteście dogadani.

Wskazuję kciukiem korytarz za moimi plecami.

– Jestem wolna? Bo mam bajzel do ogarnięcia.

– Wyrażaj się – upomina mnie Shonda. No żeż cholera, czyli jednak będzie problem. – *Proszę*. Spróbuj wykrzesać z siebie odrobinę Meghan Markle, a mniej Jacka Blacka, hmmm?

Mój wzrok wędruje do taty, który odpowiada mi podręcznikowym spojrzeniem zakochanego po uszy.

– Postaram się.

– O nic więcej nie proszę – dodaje kobieta.

– Ale jeśli walnę się w palucha, może być różnie.

– Uznam to za okoliczność łagodzącą – chichocze.

Odwracam się, ale Trávisa już z nami nie ma. Shonda jednak nie zamierza mu odpuścić. Rzucam się ku schodom i pokonuję je po dwa stopnie naraz.

Po drodze pukam do jego pokoju – tylko po to, żeby go wkurzyć – po czym pędzę na złamanie karku do siebie i zatrzaszukuję za sobą drzwi, zanim zdąży otworzyć swoje.

– Bardzo dojrzałe zachowanie – słyszę przez ścianę i muszę zagryźć pięść, żeby nie zacząć chichotać.

No dobrze... To gdzie by tu skitrać ziolo?

ROZDZIAŁ 2

Nie narzekam na swoje życie; wprost przeciwnie. Nie jesteśmy milionerami, ale mieszkamy w jednym z bogatszych obszarów Kalifornii, nieco na południe od Malibu. Okolica jest przepiękna – zewsząd otaczają nas wzgórza, drzewa, góry, a nawet jakieś mokradła.

Niczego mi nie brakuje: mam świetnych przyjaciół, gościa od ziółek, kieszonkowe, nowy, większy dom, basen i plażę, od której dzieli mnie rzut beretem.

Wiem, że się powtarzam, ale robię to za każdym razem, kiedy zwątpienie zaczyna igrzać z moim mózgiem, próbując zrujnować moje szczęście. To jeden z tych dni, kiedy lęki dopadają mnie od samego rana, a konkretniej – na chodniku, dobry kawałek drogi od domu, kiedy czekam na psiapsiółki.

Ni z tego, ni z owego odnoszę wrażenie, że moje sprane biodrówki z dziurami gryzą się z białym topem z długim rękawem. Że włosy mam w nieładzie i niepotrzebnie zdecydowałam się na cieniowanie – bo wystarczyło je równo przyciąć i tak zostawić. W takich chwilach skupiam się na tym, co daje mi radochę; na tym, na co szczerze się cieszę. Do tej pory nikt nie krytykował mojej stylówki i to się raczej nie zmieni z dnia na dzień.

Oby.

Przy chodniku zatrzymuje się gwałtownie stalowoszary Mercedes Klasy C z opuszczanym dachem. Wskakuję na miejsce pasażera. Kiedy widzę uśmiechnięte twarze przyjaciółek, wszelkie obawy wyparowują.

– Siema, laski! – wrzeszczę do trzech dziewczyn siedzących w samochodzie.

– Siema, lasko! – odpowiadają chóralnie i wszystkie zaczynamy chichotać jak idiotki.

Cella, która siedzi za kierownicą, włącza się do ruchu, przez co samochód gwałtownie wyrywa do przodu.

Na szczęście przyjaciółka – z myślą o naszych porannych wozach – trzyma dla nas w schowku bandany – żeby nasze włosy zachowały świeżość i połysk. Na szkolnym parkingu oczywiście natychmiast je ściągamy.

– Nie uwierzysz, kto do mnie wczoraj napisał! – wrzeszczy mi do ucha Bris, kiedy zapinam pas i sprawdzam, czy torebka mi się nie otworzyła.

Zanim zdążę przedstawić swoje typy, a ona odpowiedzieć, wcina się Cella.

– Kurwa, lepiej powiedz, kto do ciebie nie napisał – rzuca radośnie.

– No ba! – Bris szczerzy zęby w uśmiechu. Obracając się do niej, zauważam, że siedząca dokładnie za mną Molly jest całkowicie pochłonięta pisaniem SMS-ów.

Złote bransoletki na prawym przedramieniu Celli stukają o siebie, kiedy sięga po paczkę fajek w schowku między nami.

– Odpal – komenderuje, rzucając mi papierosy.

Ja nie palę – z wyjątkiem tej odrobiny tytoniu, którą dodaję do skrętów. Ale odpalić mogę.

– No to z kim tekstowałaś, Bris? – podejmuję temat, podając Celli zapalonego szluga.

– Z Parkerem Nolanem.

Aż się krztuszę.

– Rany, tylko nie on. Gość jest lamusem do kwadratu.

– Co nie? – pyta Cella, po czym zaciąga się papierosem i wydmuchuje dym nad moją głową.

Cóż, to i tak nic nie da, bo kiedy skończy palić, wszystkie będziemy śmierdzieć petami.

– Zaraz, serio, Parker Nolan? – uaktywnia się Molly. – To frajer. Spław go.

– Ale jego fiut ma dwadzieścia centymetrów i kto jak kto, ale ty, Cello, możesz potwierdzić, że robi wyśmienitą minetę. – Bris porusza sugestywnie brwiami.

Cella strzepuje popiół za szybę.

– Są lepsi. – Wzrusza ramionami. – A ja miałam wtedy 14 lat.

– Kiedy się rucham, chcę mieć orgazm. Naprawdę proszę o zbyt wiele?

Wybucham śmiechem i sięgam do torebki po wibrator w kształcie szminki.

– Pożyczyć ci? – pytam, prezentując zabawkę.

Cella wyrzuca niedopałek na drogę i wyrywa mi wibrator z dłoni.

– Dlaczego nosisz go w torebce, Raven?

Odbieram swoją własność i wciskam przycisk pod spodem. Wibrator zaczyna przyjemnie buczeć.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda – odpowiadam, mrużąc do niej.

Szczęka Molly opada do samych kolan, a Cella zaczyna się głośno śmiać.

– Ależ jesteś puszczalska.

– Żartuję. Po szkole jadę do Lake'a. – Wkładam wibrator do torby i pokazuję dziewczynom opakowanie smakowych kondomów, które w ubiegłym tygodniu kupiłam w pobliskiej aptece. – Jestem wyposzczona.

– Nadal się bzykacie? Myślałam, że to stare dzieje – dopytuje Molly.

Wzruszam ramionami.

– Zrobiliśmy sobie przerwę.

– Bo nie interesował go poważniejszy związek – wtrąca Cella.

Odruchowo staję w jego – i w swojej – obronie.

– Mnie też nie, pamiętasz? – przypominam. – Za kilka miesięcy skończymy szkołę i wyjedziemy na studia. Jaki jest sens coś teraz zaczynać?

– O rany, ci wszyscy wykładowcy – wzdycha tęsknie Bris.

Tylko ona mnie rozumie.

Przybijamy żółwika i wymieniamy uśmiechy, na co Cella i Molly reagują przeciagłym jęknieniem. W przeciwieństwie do nas nie przepadają za starszymi mężczyznami.

Nie oceniajcie mnie, mam prawo do swoich fantazji. Nawet jeśli wychodzę na degeneratkę.

– À propos frajerów – zagaduje Molly, kiedy wjeżdżamy na szkolny parking. – Co ma na sobie tamten gość?

Wzrok wszystkich dziewczyn wędruje kilka miejsc parkingowych dalej, do Łoska i jego kumpli. Jeden z nich założył lśniące spodnie w kolorze srebrny metalik, do tego dwa razy szersze od jego ciała. Tłumię śmiech, obserwując, jak Łosiek wraz z dwoma kolegami przytrzymują na wysokości pasa metalowe hula-hoop, do którego przypięto spodnie. Czyżby zapisali się do cyrku?

– Ale dziwaki – rzuca Cella. – Jak się żyje z kimś takim pod jednym dachem?

– To dopiero pierwszy dzień, nie mam wyrobionej opinii.

– Faj. – Bris wykrzywia w grymasie różowe usta.

Cała nasza czwórka obserwuje ich zmagania z absurdalnymi spodniami.

– Cieszę się, że to nie na mnie padło – dorzuca Bris.

– Travis nie jest taki najgorszy. Byłoby z niego niezłe ciacho, gdyby przestał się ubierać i zachowywać jak ostatni frajer.

Udaję odruch wymiotny, bo, jak to ujęła Bris, taka wizja jest po prostu „fuj”.

W końcu Łosiek mnie zauważa i już mam mu skinąć głową, kiedy znienacka nie kto inny, a Lake podnosi mnie i zarzuca sobie na ramię. Jak na takiego dryblasza potrafi zakraść się do człowieka niczym ninja. Piszczę i zanoszę się śmiechem całą drogę do jego samochodu, gdzie w końcu kładzie mnie na masce i zaczyna namiętnie całować. Kiedy nasze języki się splatają, ledwo mogę złapać oddech; czuję, jakby posuwał mnie w usta.

– Puszczalska! – wrzeszczy Cella z drugiego końca parkingu.

Pokazuję jej faka i skupiam się na całowaniu gościa, z którym przez ostatnie kilka miesięcy schodziłam się i rozchodziłam niezliczoną liczbę razy. Ku zazdrości niemal wszystkich dziewczyn w szkole.

Lake jest porażająco przystojny – to jeden z największych przystojniaków w liceum Katherine-High. Niestety zdaje sobie z tego sprawę. Może nie jest tak arogancki, jak Parker Nolan, ale niewiele mu brakuje – i chyba za to go lubię.

Skórę ma w odcieniu ciemnego miodu, a włosy czarne, krótko przycięte i z zygzakami z boku. Oczywiście gra w futbol – w obronie, co nikogo nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę, że ma ogromne barki i stosunkowo dużą głowę. Czuję się przy nim maleńka – zwłaszcza kiedy podrzuca mnie jak laleczkę.

– Przypomnij mi, dlaczego co jakiś czas dajemy sobie na wstrzymanie? – szepce mi do ucha i zaczyna całować mój kark.

Wzdycham i oplatam go nogami, znowu dając się podnieść.

– Żeby znów poczuć tę samą szaloną namiętność, kiedy się zejdziemy.

– No tak. – Uśmiecha się, widząc moją twarz na poziomie swojej. Odstawia mnie na ziemię i odprowadza do przyjaciółek. – Będę czekał tutaj po ostatnim dzwonku.

– Ja też. – Zagryzam wargi i obserwuję, jak odchodzi, wygłupiając się z kumplami z drużyny.

Kiedy odwracam głowę, Łosiek jest już w drodze do szkoły. Krzyżyk ci na drogę, dzieciaku. Oby nie przyszło mu do głowy, że nagle zaczniemy obracać się w tym samym towarzystwie. Znaczy, nadal nie jesteśmy oficjalnie „rodzeństwem” – nasi rodzice jeszcze się nie pobrali. Ale to się zmieni w maju.

– Idziesz? Nie chcę się spóźnić. – Cella pociąga mnie za torebkę w stronę wejścia. Ruszam za nią, nadal trochę oszołomiona po pocałunku.

Zapowiada się świetny dzień.

Miałam wrócić najpóźniej do 21:30, ale Lake odstawia mnie niecałe pół godziny po czasie. Całe szczęście, że nigdzie nie widzę samochodu taty. Usta bolą mnie od ciągłych pocałunków i jestem tak strasznie napalona, że ledwo mogę pozbierać myśli. Nie przeszliśmy do rzeczy, ale pooocieraliśmy się trochę na tylnym siedzeniu jego wozu.

Niestety okazało się, że wzgórze, na które zwykle jeździmy, było już zajęte.

– Na razie, kochanku – szepczę zalotnie, zatraskując za sobą drzwi samochodu.

– Mam jaja jak melony – jęczy przez otwarte okno, patrząc na mnie zboląłym wzrokiem.

– Jutro wrócimy do tematu – obiecuję, posyłając mu całusa.

Czeka, aż zniknę mu z oczu i odjeżdża. Zamykając furtkę od podwórza, słyszę, jak odgłos silnika stopniowo cichnie w oddali. Normalnie weszłabym od frontu, ale chciałam na do widzenia pokręcić mu tyłeczkiem.

– Spóźniłaś się – odzywa się Łosiek, a ja piszczę zaskoczona.

Kładę dłoń na piersi i próbuję opanować oddech.

– Jaja sobie robisz? Czy ty jesteś nienormalny?! – krzyczę.

– Mamy i Maxena nie ma. Kazali mi na ciebie poczekać i dać im znać, jeśli nie wrócisz do wpół do dziesiątej – odpowiada, zerkając na zegarek.

Podchodzę do lodówki i wyjmuję sobie piwo taty.

– I co, dzwoniłeś?

– Nie.

Posyłam mu przez ramię psotny uśmiech.

– Martwiłeś się o mnie? – pytam, przedrzeźniając go.

– Martwiłem się, że będą mieli do mnie pretensje, jeśli ktoś cię zamordował o 21:30, a ja nie dałem im znać, że coś jest nie tak.

Zaśmiewając się, sięgam do idealnie zorganizowanej szuflady po otwieracz. Kiedy wskakuję na blat i pociągam łyk z butelki, Łosiek potrząsa z dezaprobatą głową. Zawsze musi mnie oceniać.

– Masz ochotę?

– W tygodniu? – pyta, krzywiąc się.

Aż mrugam z niedowierzania.

– Chryste, ale z ciebie sztywniak – mówię, przewracając oczami.

– Po prostu myślę o swojej przyszłości. – Kiedy wstaje, okazuje się, że ma na sobie białą-szarą pidżamę w szkocką kratę. Włosy, jak zwykle, weszły mu między brwi a okulary. – Idę spać.

– O co chodziło z tymi srebrnymi portkami? – pytam, bo cały dzień nie dawało mi to spokoju.

Wzrusza ramionami i zniecka potulnieje.

– To do eksperymentu naukowego. I tak byś nie zrozumiała.

– Dlaczego? – Marszczę gniewnie brwi. – Bo jestem za głupia?

Przez chwilę się nie odzywa, wyraźnie zaskoczony.

– Nie, po prostu... chciałem powiedzieć... to nie tak...

Nie ma opcji, żeby z tego wybrnął.

– O której wracają rodzice? Jakoś niedługo? – przerywam mu.

– Trzeba było zapytać, zanim otworzyłaś piwo. – Zauważam, że kąciki ust lekko mu drgają. Czyżby próbował stłumić uśmiech?

Czyli Łosiek jednak potrafi być zabawny.

– E tam. Tata mi pozwala – odpowiadam, ponownie wzruszając ramionami.

– Pozwala ci na dużo więcej – komentuje, mierząc mnie wzrokiem od zmierzwionych, pomimo braku seksu, ciemnobrązowych włosów po ciężkie czarne kozaki, które powinnam była zdjąć przed wejściem. – Narkotyki, alkohol, włóczenie się po nocy...

– Skręt, browar i wysokie libido – wyliczam, patrząc na niego pobłaźliwie. – Ale co ty możesz o tym wiedzieć, Panie Aspołeczny? Jądra już ci opadły z podbrzusza?

Na policzkach wykwita mu rumieniec – musiałam go nieźle zawstydzić. Naprawdę mnie nie lubi, a ja takimi komentarzami tylko pogarszam sytuację. Ale jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

– Dlaczego mnie krytykujesz? – pytam po chwili, wbijając w niego wzrok.

– Bo twoje zachowanie może się odbić na mojej mamie. – Nie odrywa ode mnie spojrzenia. – Zdażyłem cię nieźle poznać przez te kilka lat, Raven. W szkole ledwo sobie radzisz, co drugi tydzień z kimś się pobijesz, patrzysz z góry na każdego, kto ubiera się inaczej niż ty, ciągle imprezujesz i puszczasz się na lewo i prawo. – Prycha, wyraźnie zniesmaczony.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Przypomnij mi, zaprzyjaźniłeś się ostatnio z kimś? – dopytuję, przekrzywiając głowę.

– Próbowałem, pamiętasz? I zobacz, jak się to dla mnie skończyło – odwarkuje i wyraźnie się spina, kiedy wybucham śmiechem.

Nie chodzi o to, że mnie rozbawił – po prostu nie mogę uwierzyć, co mi właśnie wypomniął.

– Ty serio nadal masz mi za złe to, co się wtedy stało? – pytam.

Dopijam piwo i wyrzucam butelkę do kosza. To pomaga mi nieco rozładować wściekłość.

– Byliśmy w czwartej klasie, ty świrze. Moja mama umarła! – piszczę, bo nie panuję nad emocjami.

– Tyle że o tym dowiedziałas się później, więc daruj sobie tę ściemę – syczy, kręcąc głową. – Jesteś na równi pochyłej i jeśli czegoś nie zmienisz, moja mama i twój tata oberwą rykoszetem. Chociaż on chyba ma w nosie, co robisz ze swoim życiem. – Uśmiecha się do mnie szyderczo. – Nie tak to powinno wyglądać. – Kiedy mruży orzechowe oczy, zauważam, że gniew rozszerzył mu źrenice. – Przyjdzie taki dzień, kiedy powie „stop” i przestanie tłumaczyć twoje zachowanie śmiercią matki.

Choć wypowiedział te słowa bez emocji – i ma pewnie rację – w środku aż się gotuje. Jak on, kurde blaszka, śmie?

Próbuję nad sobą zapanować. Mam wprawę w trzymaniu nerwów na wodzy. Zwykle mi się udaje. Chyba że w grę wchodzi moja mama. A zwłaszcza wspomnianie o jej śmierci.

To był cios poniżej pasa.

– Śmiało, powiedz o niej coś jeszcze, fiucie – prowokuję go.

Przewraca oczami i wychodzi z kuchni, zostawiając mnie samą, żebym kisiła się w swojej wściekłości. Sięgam po kolejną butelkę piwa i idę do siebie, po drodze pukając do jego pokoju. Będę tak robić do oporu. Tak mu uprzykrzę życie tutaj, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wyjedzie na studia i wreszcie się ode mnie odwali.

– Kasztan – rzucam, stawiając butelkę na parapecie.

– Słyszałem to – dobiega mnie zza ściany stłumiona, ledwo słyszalna odpowiedź.

– KASZTAN! – wykrzykuję, z pełną świadomością, jak to o mnie świadczy.

Tym razem nie reaguje, ponieważ w odróżnieniu ode mnie nie jest główniarzem. A ja teraz czuję się jak idiotka.

ROZDZIAŁ 3

– Nienawidzę go. Jak wysypki. Chcę, żeby wyjechał przede mną.
– Przekręcam się na plecy, zasłaniam oczy ramieniem i wciskam stopy w miękki materiał leżaka.

Miałyśmy urządzić mój pokój, ale słońce pięknie świeci, a ja nie pogardziłabym lekką opalenizną. Poza tym Celli się nudziło, a Molly zgłodniała.

Bris robi kolejną długość basenu. A przynajmniej próbuje. Nie da się ukryć, że brakuje jej gracji zawodowej pływaczki. W życiu nie widziałam, żeby ktoś się tak taplał. Pływa jak lodołamacz.

Plus jest taki, że za każdym razem, kiedy przepływa obok, w naszym kierunku unosi się chłodna mgiełka.

– Chodzi o to, co wtedy powiedział? – pyta Molly z ustami zapchanymi chlebem.

Węglowodany, jakże mi was brakuje.

– To nie wszystko – wtrąca Cella, która przez cały tydzień wysłuchiwała moich narzekań.

Molly się ostatnio pochorowała, a Bris przy każdej nadarzącej się okazji przysysała się do ust Parkera. Ohyda.

– Zjeb jeden cierpi na ciężki przypadek zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. A że korzystamy z jednej łazienki, to ciągle wszystko układa, myje i w ogóle.

– Nie bardzo widzę, w czym tkwi problem – stwierdza Molly, nadal przeżuując.

– Nie gadaj z pełną paszczą, szmato. – Cella uśmiecha się do naszej wspólnej przyjaciółki. – Oszczędź nam tego widoku.

– Co jest grane? – pyta Bris, podpływając do krawędzi basenu.

– No cóż. – Prostuję się, siadam okrakiem na leżaku i każdej z osobna posyłam wymowne spojrzenie. – Wymyślił sobie, że pozmywa podłogę. Ale zamiast pozbierać moje ciuchy i wrzucić je do mnie, zebrał je mopem. Więc na wszystkich są teraz plamy z wybielacza.

– Jak on mógł? – wzdycha Molly, po czym szeroko otwiera usta, eksponując resztki chleba oraz szynki.

– Zamknij paszczę, lodziaro – wrzeszczy Cella, rzucając ręcznikiem w jej twarz.

– Dlaczego nie włożyłaś ciuchów do kosza? – pyta Bris, a ja posyłam jej gniewne spojrzenie.

– Zazwyczaj tak robię, ale byłam zbuchana, zapomniałam! Gdyby powiedział, że mam je zabrać, to bym tak zrobiła. – Od tamtego pamiętnego wieczoru nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Staramy się nie wchodzić sobie w drogę.

– Ale z niego źmija – wzdryga się Bris.

– Co nie? – dołącza do niej Cella.

Zanoszę się udawanym płaczem.

– To była moja ukochana bluzka z Beatlesami. Ta, którą dostałam od gościa z tłustymi włosami na mostku na Sunset Strip.

– Tylko nie ta, była zajebista. – Molly poklepuje mnie po ramieniu.

– Faj – mruczę pod nosem i strącam grzbietem dłoni okruszki chleba, którymi mnie obsypała.

Cella wyjmuje papierosa, wkłada go do ust i odpala, używając ulubionej zapalniczki w kształcie delfina, po czym wyciąga się na leżaku.

– Co za frajer.

– O mój Boże, stoi na piętrze! – szepce konfidencjonalnym tonem Molly. Przenosimy z Cellą wzrok na okno po przeciwnej stronie basenu, nad kuchnią.

– Pewnie dynamizuje ślimaka – stwierdza Cella i posyła mu faka. – Napatrz się, zbolu, bo nigdy nie posmakujesz tego ciała!

– W chwili, w której przyszedł na świat, pierwszy i ostatni raz w swoim życiu miał kontakt z waginą – rzuca Bris i wszystkie wybuchamy śmiechem.

Wyciągamy się na leżakach, a ona wraca do pływania.

Przekręcam się na brzuch, ignorując frajera, z którym przyszło mi żyć.

– Powinnyśmy dokończyć malowanie pokoju.

– E tam – protestuje Cella, opuszczając okulary. – Jutro.

– No, pełna zgoda – potwierdza Molly i ziewa. – Shonda naprawdę zna się na kuchni.

Kiwam głową.

– Makaron z serem z kartonu się nie umywa.

Kiedy ponownie odwracam się na plecy, jego już nie ma. Zastanawiam się, co tam w ogóle robił.

Na pewno wie, że zemszczę się za to, jak potraktował moje ubrania. Naprawdę jestem aż tak małostkowa. Tym razem przejął. To jest wojna.

Niedzielnny poranek.

Nasz pierwszy „rodzinny” dzień.

– Śniadanie gotowe – dobiega mnie trzecie już wezwanie Shondy.

Dlaczego muszę wstać przed dziesiątą? Do dupy z taką niedzielą.

– Jeśli nie zobaczę was tu za pół minuty, lepiej nie umawiajcie się na jutro z przyjaciółmi – komunikuje moja „macocha”.

No żeż kurwa. Niedziele naprawdę będą kiczowate.

Wygrzebuję się z łóżka. Mam na sobie krótkie spodenki i koszulkę bez rękawów. Włosy mi się splątały i owinęły wokół głowy, a do tego jestem tak skonana, że ledwo widzę na oczy, ale mam na jutro plany, więc szlaban nie wchodzi w grę.

Ziewając, wytaczam się z pokoju i z głośnym westchnięciem zderzam się z kimś na korytarzu. Oboje lecimy na ścianę, a ów ktoś oplata mnie rękoma, chroniąc nas przed upadkiem.

Uderza plecami w ścianę, a moja twarz łąduje na jego twardej, ale miłej w dotyku i ciepłej klatce piersiowej.

– Gościu – mamroczę i podnoszę wzrok. Łosiek zdążył się już ogarnąć. – Uważaj, gdzie leziesz.

Nadal trzyma mnie w mocnym uścisku, jakby się bał, że kiedy puści, natychmiast się przewrócę. Jest silniejszy, niż myślałam.

– Nic ci nie jest? – Dziwne pytanie, biorąc pod uwagę, że tak na niego naskoczyłam.

– Szafa gra – odpowiadam i odsuwam się od niego. Od razu zaczyna mi brakować ciepła jego ciała, bo tak już mam, że czasami lubię być przytulana. Zwłaszcza rano.

Moje pobudki pozostawiają wiele do życzenia. Kiedy byłam młodsza, wślizgiwałam się do łóżka taty, a on tulił mnie, dopóki się nie wybudziłam. Ale te czasy minęły – jestem praktycznie kobietą, więc byłoby zbyt dziwnie.

Lake też mnie nie przytula, to nie ten rodzaj związku. Kiedy skończymy świrować, włącza jakąś grę i wypala jointa albo ubiera się i wraca do siebie. Obu stronom taki układ zwykle odpowiada.

– Fatalnie wyglądasz.

– Poranki mi nie służą – mamroczę. To nasze pierwsze poranne spotkanie. Kiedy udaje mi się dotrzeć do kuchni, jego zazwyczaj już nie ma. – Kawa.

– Masz wiele paskudnych nawyków – komentuje przyciszonym głosem, jak zwykle marszcząc brwi.

– Chuj mnie obchodzi, co myślisz o moich nawykach. – Ruszam w kierunku schodów tylko po to, żeby zwiększyć dzielący nas dystans.

Podąża za mną.

– Ojajku – komentuje mój wygląd Shonda. – Wszystko dobrze?

Potwierdzam skinieniem głowy, ale tata wyręcza mnie w tłumaczeniach.

– Poranki jej nie służą – mówi, wykładając na talerz pysznie wyglądającą jajecznicę.

– W tygodniu wyglądała zupełnie inaczej... – Shonda wydaje się podenerwowana.

Przecież nie jestem jakąś seryjną zabójczynią. Po prostu padam z nóg, do chuja pana.

– Pozwól jej się wykąpać i ubrać. – Tata zawsze był moim rzecznikiem.

Podchodzę do dzbanka, nalewam sobie kawy do kubka i tulę go do ciała niczym nowo narodzone dziecko. Jest mi tak dobrze, że mogłabym zacząć do niego gaworzyć, ale pewnie skończyłoby się to dla mnie biletem w jedną stronę do wariatkowa. Łosiek siada na taborecie i dziękuje matce za posiłek.

– Jak w szkole? – zagaduje nas Shonda, a tata kładzie mi dłoń na ramionach i pomaga obrać kurs na taboret.

– W porządku – kłamię. Jeszcze kilka gał i obleję przedmioty, które wybrałam na ten rok. A wtedy tata mnie zamorduje.

– Super! – Travis wyraźnie się ożywia. – Prawie skończyliśmy eksperyment ze spodniami.

Prycham głośno na wspomnienie głupola w galotach z folii aluminiowej na parkingu.

Tata trąca mnie łokciem, a Shonda posyła mi gniewne spojrzenie.

– To nie z niego się śmieję – zapewniam, przewracając oczami, ale chyba mi nie uwierzyli.

Kiedy dyskusja schodzi na kwestie naukowe, fizykę i kryminalistykę – czyli tematy, które guzik mnie interesują – odpływam do swojego świata.

– Który przedmiot lubisz najbardziej? – pyta Shonda, przenosząc punkt ciężkości dyskusji na moją osobę.

– Sztukę – odpowiadam.

Tym razem to Travis reaguje prychnięciem, aż mama trąca go łokciem.

– To nie z niej się śmieję – odpowiada drwiąco.

– Ale ja naprawdę się z ciebie nie nabijałam – odpowiadam, patrząc na niego spode łba. – Tylko z tych zjebanych portek, które nosił twój kumpel.

– Wyrażaj się – upomina mnie Shonda i wzdycha ciężko.

Tata macha dłonią między mną a Travisem. Wpatrujemy się w siebie z taką wrogością, że gdyby to było anime, jedno z nas zdążyłoby paść trupem.

– Moglibyście spróbować jakoś się dogadać? – pyta mój ojciec.

– Nie – odpowiadam warknięciem.

– Jest zbyt trudna w obyciu – dorzuca Travis.

– Nikt tak już nie mówi – komentuję, po czym pstrykam w jego ogromne pingle.

– Nie rób tak – ostrzega mnie.

– Bo co? – dopytuję z szyderą w głosie i znowu pstrykam w okulary.

– Natychmiast przestańcie! – wybuchła tata.

– Co się z wami dzieje? – pyta Shonda dużo spokojniejszym tonem.

– Nic! – rzucamy jednocześnie, wbijając wzrok w talerze.

Próbuję skupić się na jedzeniu, ale jeszcze nie przeszła mi złość na Łośka i widzę, że on ma ten sam problem. Shonda i tata wymieniają zatroskane spojrzenia.

Szczęśliwie dla wszystkich sytuację ratuje dźwięk telefonu stojącego na blacie nieopodal drzwi. Shonda odbiera i posyła synowi smutne spojrzenie.

– Travis, to twój tata.

– Powiedz, że mnie nie ma. – Chłopak wyraźnie się spina.

– Teraz już wie, że to nieprawda. – Matka przekazuje mu słuchawkę. – Porozmawiaj z nim.

Travis wstaje, wrywa jej telefon z dłoni i wychodzi z kuchni, a my kończymy śniadanie. Po jakimś czasie wraca wyraźnie zdołowany.

– Wszystko dobrze? – dopytuje go przyciszonym głosem Shonda.

– Tak – odpowiada prawie szeptem, wpatrując się w talerz.

Kiedy obserwuję, jak bawi się posiłkiem, na który tak się cieszył, dopadają mnie wyrzuty sumienia. Wydaje się taki zagubiony. Ciekawe, o czym rozmawiali.

Shonda ściska mu ramię i się odsuwa, najwyraźniej uznając, że jej syn potrzebuje trochę przestrzeni dla siebie.

Kiedy patrzę na tatę, on też jest smutny.

– Idę poćwiczyć – rzucam półgłosem i czym prędzej opuszczam kuchnię, po drodze wykrzykując przez ramię głośne podziękowanie.

Shonda też wychodzi, co oznacza, że tata został sam na sam z Travisem. Może zdoła poprawić mu humor. Pierwszy raz, od kiedy tata i Shonda zaczęli się spotykać, nie boję się, że polubi go bardziej niż mnie.

Chyba nie ma sensu się tym zamartwiać. Łosiek należy teraz do rodziny.

Uch. Co nie znaczy, że ni z tego, ni z owego poczuje do niego nagły przyływ sympatii. W końcu zmasakrował moją ulubioną koszulkę.

Po godzinie wyciskania ciężarów i przysiadów ściągam przeponcone ciuchy i wskakuję do basenu. Zawsze założyłam pod spód bikini. Nie wiem, czy w nasz wspólny dzień wolno mi pływać, ale w domu zrobiła się dla mnie zbyt gęsta atmosfera, a wczoraj się objąłam i nie odhaczyłam treningu.

Nie to, żebym ćwiczyła codziennie – czasami sobie odpuszczam, chociaż nie powinnam. Moja kolejna życiowa porażka.

Brett: Balcik w piąteczek. U mnie. Będziesz???

Raven: Jeszcze pytasz???

Brett: I to rozumiem.

Otwieram grupowy czat z dziewczynami i przesyłam im wiadomość. Oczywiście, że też przyjdą. Czy przepuściły choć jedną imprezę?

Pięćdziesiąt minut później, po prysznicu, dołączam do reszty rodziny zebranej przed telewizorem w pokoju dziennym. Przebrana w pidżamę przysiadam na końcu długiej kanapy. W pomieszczeniu jest dość miejsca na dwie tapicerowane kremowe kanapy, ale jedną tata i Shonda zarezerwowali dla siebie na miłosne przytulanki. Co oznacza, że na tej większej siedzę z Łośkiem. Między nami zmieściłby się ktoś jeszcze, ale moje stopy – w skarpetkach – nieznacznie naruszają granicę.

Jego też, ale przysiadł w innej pozycji niż ja. Obie nogi ma zgięte, jedną oparł o tylną część kanapy, a drugą położył na siedzisku. Do tego połączył stopy, więc wygląda, jakby ułożył nogi w kształt diamentu. Zeszło z niego całe napięcie. Oglądamy nową Księgę Dżungli – mnie jakoś szczególnie nie podchodzi, ale też nie skupiam się za bardzo na ekranie. Tekstujemy z ekipą o piątkowej imprezie.

– Możesz to wyłączyć? – szepce. – Ekran strasznie świeci.

– To na niego nie patrz – odpowiadam półgłosem i prawie puszczam pawia, kiedy Shonda zaczyna chichotać w reakcji na coś, co zrobił tata.

– To kwestia widzenia peryferyjnego.

– Peryferyjnego – pokpiwam, stukając palcami jego goleń.

Zmienia pozycję i posyła mi spojrzenie spode łba.

– Ależ z ciebie...

Nie kończy, ale i tak wiem, co zamierzał powiedzieć. Zaciął usta w ten charakterystyczny sposób.

– Przecież zajmuję się własnymi sprawami.

– Stukasz w jasny ekran w ciemnym pomieszczeniu – burczy zirytowany.

Wzdycham ciężko, blokuję ekran i kładę telefon na podłokietniku kanapy.

– Zadowolony?

– Ogromnie. – Prycha.

– Zaczynj wreszcie żyć, Łosku. Może zejdzie z ciebie to ciśnienie.

– Naucz się empatii.

– Bzyknij kogoś.

– Starczy już tych szeptów – upomina nas tata, patrząc na nas gniewnie.

– To odklejcie się wreszcie od siebie – odgryzam się ku uciesze Shondy.

Chociaż jest ciemno, pokazuję Travisowi język i znowu łapię za telefon, ale tym razem opieram sobie o kolana poduszkę, żeby nikomu nie świecić po oczach. Do końca filmu Łosiek na nic się nie skarży, a przez resztę dnia nie zamieniamy ze sobą ani słowa.

Inaczej niż tata. Dopada mnie w kuchni i pyta, jak sobie radzę, a przy okazji prosi, żebym postarała się być miłsza dla Shondy i Łoska. Wysłuchuję jego przemowy i przyswajam jej treść, ale prawda jest taka, że jestem, jaka jestem. Łosiek niech się buja, ale mimo wszystko spróbuję – specjalnie dla Shondy.

ROZDZIAŁ 4

Tydzień dłuży się niemiłosiernie. Nie poprawiłam ocen; z drugiej strony nie pogorszyłam też swojej sytuacji, ale wiem, że jeśli czegoś nie zrobię, tata się wścieknie.

Rozwiązanie tego problemu zostawiam sobie na jutro – bo aktualnie liczy się wyłącznie impreza.

Dzisiaj zamierzam pójść na całość, a grzeczną dziewczyną będę od jutra. Mam nadzieję, że Lake też wpadnie, bo dawno się nie widzieliśmy. Od kiedy mieszkam z przyszywaną rodziną, trudniej jest zorganizować schadzkę... Zawsze ktoś jest w domu.

– Łał – komentuje Shonda, kiedy wchodzimy z Cellą do kuchni.

Na jej znak robię obrót i całą kuchnię zalewają refleksy światła odbitego od moich błyszczących ciemnografitowych biodrówek.

– Nie wyobrażam sobie, jak można w tym chodzić. – Pokazuje na moje czarne szpilki.

– Ja też – wtrąca Cella, wskazując swoje tenisówki. – Ale do dwudziestej trzeciej wylądują w torebce.

Chichoczę, bo dokładnie tak będzie. Poprawiam jeszcze czarny top z długimi rękawami, który założyłam głównie po to, żeby uwydatnić mój biust. Wyglądam dobrze. Dawno nie wciągałam tych szortów. Ładnie opinają moje tyły.

– Dokąd się wybieracie? – Shonda wyłącza kuchenkę i przelewa gorące mleko do kubka, co oznacza, że tata pracuje. Albo umówił się z kumplami na oglądanie powtórki meczu i picie jakichś sików.

– Do Brett. Tata zna jego rodziców. Są w porządku.

Kiwa głową i spogląda w kierunku drzwi. Zagryza dolną wargę. Ewidentnie bije się z myślami.

Pomagam Celli dopasować zameczek złotej bransoletki, kiedy Shonda odchrząkuje.

– Wiem, że proszę o wiele, ale może mogłybyście przekonać Travisa, żeby poszedł z wami?

Cella prycha, przyciągając tym smutne spojrzenie Shondy.

– To nie jego żywioł, Shondo. Nie odnajduje się na szkolnych imprezach – tłumaczę, majstrując przy swoich okrągłych kolczykach.

– Byłabym ci ogromnie wdzięczna – prosi, wbijając we mnie spojrzenie wielkich orzechowych oczu. – Wystarczy, że go zaprosisz.

Kurwa. Niech to chuj. Dlaczego stawia mnie w takiej sytuacji?

– Nigdy nie był na żadnej imprezie. Na pewno chciałby na jakąś pójść, ale jest zbyt nieśmiały, żeby się napraszać – dodaje Shonda, korzystając z okazji, że Cella pisze coś na komórce. Nie chce narobić wstydu własnemu synowi.

– Niespecjalnie się dogadujemy.

– Może uda się to zmienić?

Uch. A Łosiek twierdzi, że to mnie brakuje empatii.

– Zapytam. – Odpuszczam zabawę kolczykami i wracam, skąd przyszłam.

Dlaczego mnie to spotyka?

Wchodzenie w szpilek po schodach jest łatwiejsze od schodzenia, ale i tak idzie mi tak, jakbym brodziła w błocie. Jebani rodzice i ich pieprzone próby spychania na mnie odpowiedzialności. A ja oczywiście czuję się zobligowana pójść im na rękę. Bo przecież nie chcę, żeby Shonda mnie znienawidziła. Tata ją kocha, a ja nie jestem już małą dziewczyną, więc jeśli spieprzę nasze relacje, może wybrać ją. A wtedy zostanę całkiem samiuteńka.

Wystukuję na drewnianych drzwiach wyszukany rytm. Zero reakcji.

Ponawiam pukanie, dopóki nie uświadamiam sobie, że przecież robię to za każdym razem, kiedy przechodzę obok jego pokoju. Pewnie myśli, że znowu z nim pogrywam.

– Łośku, otwórz – proszę, dobijając się do drzwi.

W końcu ze środka dobiega mnie odgłos kroków. Travis otwiera mi w ciemnej koszulce i jasnych dżinsach. Wygląda zaskakująco dobrze.

– Czego chcesz? – rzuca, wyraźnie poirytowany.

To akurat może mieć związek z faktem, że – choć nie ma na to dowodów – w ramach odwetu za zniszczenie topu wywaliłam mu świeże pranie na środek pokoju. A potem wzięłam się za te jego dziwaczne, maciupeńkie figurki z gier planszowych, które z takim namaszczeniem ustawił na półce nad łóżkiem. Połączyłam je w pary oddające się nieporadnemu seksowi i przemieściłam w różne punkty sypialni.

Stwierdzenie, że krytycznie odniósł się do tych zabiegów, byłoby sporym niedomówieniem. Słuchanie, jak się tłucze po pokoju, było dla mnie źródłem niespotykanej satysfakcji.

– Miałam ci powiedzieć, żebyś się przebrał, ale wyglądasz w porządku. Chodź, idziemy na imprezę.

Wybucha szorstkim śmiechem, po czym zatrząskuje mi drzwi przed nosem z takim impetem, że podmuch powietrza podnosi mi włosy.

– Hej, przynajmniej próbowałam.

Niestety przypominam sobie wyraz desperacji odmalowujący się na twarzy Shondy i dopadają mnie wyrzuty sumienia.

Kładę dłoń na klamce, gotowa wparować do środka, ale zamiast tego pukam jeszcze ten jeden, ostatni raz.

– Chodź, Travis, zrób to dla swojej mamy.

Kiedy nie odpowiada, pokazuję drzwiom środkowy palec i ruszam na dół. Znienacka słyszę, jak drzwi za mną się otwierają. Kiedy się odwracam, napotykam spojrzenie jego oczu ukrytych za grubymi szklami okularów. Mierzy mnie nim od stóp do głów.

– U kogo ta impreza? – pyta i przetyka ślinę.

– U Brettia Kaciego.

– Czy to nie on organizuje alkoholowo-narkotykowe orgie?

– Chłopie – szepczę, oglądając się na schody, czy przypadkiem nie podsłuchuje nas Shonda-szpiegula. – Chcesz, żebym dostała szlaban?

Wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że to nie jego problem – co ulegnie zmianie, jeśli narobi mi kłopotów.

– To jak, idziesz czy nie?

– Dobra – odpowiada, kolejny raz uważnie lustrując mój strój. – Ja prowadzę?

– Cella! – krzyczę. Po kilku sekundach pojawia się u podnóża schodów. – Travis prowadzi?

Jej szeroko otwarte, brązowe oczy wyrażają zdumienie. Nie może uwierzyć, że naprawdę go zaprosiłam.

To jest nas dwie.

Przez dłuższą chwilę komunikujemy się za pośrednictwem gestów i rozbieganych oczu. W końcu wydaje z siebie ciężkie westchnienie.

– Jak chcesz.

Chyba jeszcze bardziej dziwi mnie, że się zgodził.

Kiedy ruszamy do wozu Travisa, Shonda aż promienieje. Cella próbuje zaklepać miejsce z przodu, ale ku jej przerażeniu udaje mi się ją podsiąść. I to w szpilkach – które z perspektywy czasu nie wydają się takim trafionym wyborem.

Komunikuje mi swoje niezadowolenie za pośrednictwem SMS-a i oznajmia, że nie zamierza pokazywać się w jego towarzystwie. Odpisuję, że kiedy tylko dojedziemy na miejsce, każdy pójdzie w swoją stronę i będzie musiał sobie radzić sam.

– Dlaczego dowalałaś się do mnie rano, kiedy puściłam swoją muzykę, skoro słuchamy tego samego? – pytam, lustrując jego playlistę na wyświetlaczu na desce rozdzielczej.

– Lubię się rano rozluźnić – odpowiada, nieco podkreślając głośność. – A ściana między naszymi pokojami jest cienka jak papier.

– Fakt, wspominała, jak hałasujesz przy robótkach ręcznych – wtrąca Cella, po czym wybucha śmiechem, kiedy Travis pąsowieje.

– Nigdy tak nie powiedziałam – rzucam podniesionym głosem. – Ale z ciebie suka.

Cella wręcz zwija się ze śmiechu w fotelu – dopóki nie sięgam za siebie i nie szczypię jej w udo.

– Cipa.

– Szmata.

– Lesba.

– Ależ jesteście dla siebie uprzejme – rzuca pod nosem Travis. Włącza kierunkowskaz i skręca po szerokim łuku.

– Skąd wiesz, jak dojechać do Bretta? – pytam, marszcząc brwi.

– Mieszka kilka domów od Prestona.

– To ten gość w foliowych spodniach?

Kiwa z powagą głową. To u niego norma.

– A ty przypadkiem nie chodziłaś z Prestonem? – pytam Cella. Posyła mi spojrzenie, którym mogłaby mi wypalić dziurę w plecach.

– W pierwszej klasie. W pierwszej, kurwa, klasie.

Travis uśmiecha się półgębkiem – musi nad nim jeszcze trochę popracować, ale od czegoś trzeba zacząć. Pytanie brzmi, dlaczego mam wrażenie, że u niego zapunktowałam?

– Zajedź pod sklep. Muszę uzupełnić zapasy rosyjskich smakołyków. – Cella wskazuje palcem punkt docelowy, a Łosiek bez jojczenia spełnia jej prośbę.

– Masz lewy dowód? – pyta, kończąc parkowanie przed wejściem, między dwoma wielkimi tirami.

– No ba. – Macha torebką. – Zaraz wracam. Idziesz, suko?

– Nie, leć beze mnie.

Travis przygląda mi się z wyrazem zdziwienia na twarzy.

– Nie masz dokumentów?

Przykładam palec do ust, opuszczam daszek i trzeci raz od wyjazdu poprawiam makijaż.

– Wyglądasz w porządku. – Sięga dłonią i pozbawia mnie dostępu do lusterka. Na twarzy błądzi mu uśmiešek.

– Tylko „w porządku”? – Zalotnie trzepocę rzęsami.

Nie komentuje.

– Dlaczego ciągle krytykujesz wszystko, co robię? – pytam.

Kurczowo ściska kierownicę, wystukując na niej kciukami jakiś rytm.

– Nie lubię zmian.

No nareszcie.

– A ty jesteś jak jakiś pieprzony huragan – dodaje po chwili.

Bezwolnie uśmiecham się od ucha do ucha. Nic na to nie poradzę – pierwszy raz słyszę, jak przeklina. Czuję, że dokonaliśmy tu czegoś ważnego.

Sięgam dłonią i pstrykam palcem zausznik jego okularów.

– Żebyś wiedział, dziecino. I nigdy o tym nie zapominaj.

Podkręcam muzykę i, głośno fałszując, podpinam się pod wokal, dopóki nie wraca Cella. Dźwiga papierową torbę z ciężką butelką w środku.

– Dajesz, Łośku. Gaz do dechy.

Dojeżdżamy na miejsce po zmroku; dom Brettta jaśniej na końcu bardzo długiego podjazdu. Łosiek zdecydował się zaparkować bliżej wyjazdu, co dla mnie oznacza długi spacer w szpilkach po nierównej powierzchni. Nie mam pojęcia, jak tam dojdę. Trzeba było włożyć normalne buty.

Goście z drinkami w dłoniach zgromadzili się wokół niewielkiej fontanny. Z wielkiego budynku, przez otwarte okna, sączy się na zewnątrz muzyka. Na zasłonach tańczą cienie i sylwetki.

– Pora się naaaajeeebaaać – nuci Cella, pędząc do środka i nie oglądając się na nas.

Travis nagle się zatrzymuje i wkłada dłonie do kieszeni.

Obserwuję go, niepewna co zrobić.

– Stresik?

– Skądże – kłamię mi w żywe oczy. Podbródek wędruje mu do góry.

– No chodź. – Wyciągam ku niemu dłoń. – Pożyj trochę wreszcie, chłopaku.

Nie odwzajemnia gestu, ale kiwa potakująco głową i podąża za mną w kierunku budynku. Kiedy przekraczam próg, dopadają mnie moje psiapsioly, Brett i dwójka znajomych ze szkoły. Ściskamy się na powitanie i przedstawiam im Trávisa – unikając ksywy „Łosiek”.

Wszyscy się z nim witają, ale szybko tracą zainteresowanie, więc prowadzę go do kuchni, gdzie ustawiono beczkę piwa ze sprytnie zamontowanym, długim kranikiem.

– Jeśli masz ochotę się napić, możesz zostawić wóz tutaj – informuję Trávisa, starając się przekrzyczeć muzykę.

Potrząsa głową. Opróżniam kufel, poprawiam szotem, który doniosła mi Cella, i spijam łyk drugiego piwa.

– Może trochę zwolnisz? – mityguje mnie Travis, chwytając mój łokieć. – Nie to, żebym próbował ci rozkazywać, ale...

– Przestań mówić – przerywa mu Cella, przyciągając mnie bliżej. – Chodź, podobno Lake jest na górze. – Przenosi wzrok na Trávisa. – W pokoju jest ta kujonka z zaawansowanych-cośtam-cośtam. Możesz spróbować do niej uderzyć, Travis.

Posyłam mu porozumiewawcze mrugnięcie i ruszam w swoją stronę, ignorując fakt, że chyba nadal czuje się nieswojo, a ja na dobrą sprawę rzucam go na pożarcie wilkom.

– Baw się dobrze, Trav.

– Nie ma opcji, żebyś mnie tutaj zostawiła – syczy mi do ucha, szybko skracając dystans między nami. Obejmuje mnie w pasie, wsuwa dłoń w szlufkę biodrówek i trzyma mocno, kiedy przebijamy się przez tłum za Cella.

Wybucham śmiechem, a Cella przewraca ciemnymi oczami.

– Tylko dorośli mają wstęp na piętro, Travis.

– To strefa dla palących – tłumaczę.

– To ty palisz? – pyta jak zwykle głęboko zdegustowany.

– Nie karmię raka, Trav. To tylko zioło.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

